Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny

№ 25. Warszawa, 19 Listopada 1910 r.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny.

Redakcja i administracja: Trębacka 10. Telefon 144-40.

Ohydne milczenie.

Jerzy Huzarski.

Raz jeszcze przypomniał Belmont w ostatnim numerze „Wolnego Słowa“ o losach skazańców mozyrskich. Tym razem jednak głos jego nie spotkał nawet tego słabego oddźwięku, którym odpowiedziano w swoim czasie na jego list otwarty do prezesa ministrów.

Bo sprawa ta wydaje się ogółowi tak dawną, tak przebrzmiałą, jak gdyby pokrył ją już pył długich lat, jak gdyby była ona nie męczeńską tragedją teraźniejszości, lecz dokumentem wyjętym z archiwów.

Niestety, nie wszechpożerający czas kojącym balsamem pokrył tę ranę, lecz brudny wir spraw t. zw. aktualnych. Wir brudny, bo złożony z najohydniejszych zbrodni w rodzaju crippenowskiej lub częstochowskiej i nie mniej ohydnych burd publicystycznych, które doszczętnie pochłonęły uwagę społeczeństwa.

Bo — ze smutkiem przyznać to należy— w obecnej chwili dla społeczeństwa i jego wyrazicielki — prasy kwestje j a k o t a k i e nie istnieją. Istnieje tylko sensacja, która wyjałowionemu dziś z wszelkiej ideowości ogółowi pozwala zlekka podraźnić przytępione nerwy, a prasie — przykuć do siebie czytelnika w sposób niezbyt uciążliwy, no i niezbyt niebezpieczny.

I w tym tkwi niewątpliwie przyczyna milczenia, dzięki któremu w tak krótkim czasie udało się pogrzebać sprawę mozyrską.

Nie przedstawiala ona dość podniecającego żeru dla dziennikarzy, nie obfitowała w skandaliczne szczegóły i szczególiki buduarowe, w wybryki erotyczne czy erotomańskie. Knobelsdorf i jego towarzysze byli w porównaniu z Tarnawską, Crippenem, Gilewiczem, Macochem, Ronikierem, O'Brienem i całą kompanją, skazańcami zupełnie nie ciekawymi.

A przytym, podczas gdy o sprawach tych wszystkich opryszków można pisać, co się chce najzupełniej bezpiecznie, zajmowanie się sprawą mozyrską mogło narazić na niemiłe konflikty z cenzurą.

I oto prasa z niebywałym spokojem przeszła nad sprawą tą do porządku dziennego—z taką łatwością, jak gdyby chodziło o pozbawiony jakiejbądź wagi drobiazg.

Kilka suchych kronikarskich wzmianek, parę płaskich konceptów w „Szczutku", który jako przysięgły trefniś społeczeństwa w dobie bezmyślności — nie pojmuje, iż istnieją tematy, wobec których błazeństwa są zgoła nie na miejscu — oto i wszystko, co poświęcono skazańcom mozyrskim.

A przecież zdawać-by się mogło, że sprawa ta powinna była roznamiętnić całe bez wyjątku społeczeństwo, wszystkie jego odłamy, koła.

Wszak była ona ze strony szowinistów rosyjskich jedynie wstępem do generalnej kampanji przeciw katolicyzmowi — zdawać-by się więc mogło, że ci, którzy w religji tej widzą jedyne zbawienie dla społeczeństwa polskiego, powinni byli z całą gotowością pospieszyć ku obronie zagrożonego katolicyzmu.

Z drugiej strony był to też cios wymierzony polskości i Polakom wogóle, była to naganka na przedstawicieli narodowości polskiej, którą w ten sposób zohydzić chciano w oczach

ogółu rosyjskiego, przedstawiając jako „buntowników”, lżących naród rosyjski i jego wiarę

A jednak ci, którzy wciąż drapują się w togi patrjotyzmu, nie wystąpili przeciw tej napaści, nie odparowali zręcznie zadanego ciosu.

Dalej, był to akt skrajnego fanatyzmu, lecz mimo to ci, który z gromienia fanatyzmu rzemiosło swe uczynili, nie zareagowali na czyn, tak rażący XX wieku, wieku tolerancji i bezreligijności, słówkiem nie protestowali przeciw wybrykowi fanatyków.

A wreszcie proces był wyrokiem śmierci fizycznej lub cywilnej dla szeregu ludzi: dla dwuch blizkich grobu starców, dla dwuch wstępujących w życie młodzieńców, dla kilku ojców i żywicieli rodzin.

I trudno wprost uwierzyć, że tortury skutych w łańcuchy, sponiewieranych, pędzonych na skraj świata, w głąb śnieżnej pustyni niewinnych skazańców nie budzą choć współczucia, które przejawiłoby się w jakiś sposób.

Trudno w to uwierzyć, a jednak jest to prawdą, prawdą wysoce bolesną, a przytym ubliżającą całemu społeczeństwu.

Ubliżająca, bo naiwnością byłoby przypuścić, że prasa nie zdaje sobie sprawy z doniosłości faktu, z jego wagi społecznej i indywidualnej, że nie rozumie, iż sprawa ta—to raz, wymierzony całemu narodowi, że nie pojmuje cierpień skazanych.

Nie! to nie nieświadomość, lecz poprostu karygodna obojętność, to znieczulenie na sprawy olbrzymiej wagi, znieczulenie, które znajduje swój odpowiednik w przeczuleniu, gdy chodzi o sprawy błahe, nie mające dla ogółu poważnego znaczenia.

Wszak nie przebrzmiały jeszcze echa burzy, rozpętanej przez plotkę, jakoby pewien pismak nazwał Polskę trupem (w rzeczywistości trupem nazwano P o l s k ę s z l a c h e c k ą, co współczesnej nietylko nie obraża, lecz przeciwnie, podnosi ją, gdyż świadczy, że wyrosła ona z pieluszek feodalnych). A przecież gdyby nawet tak było, gdyby istotnie jakiś pisujący półgłówek nazwał Polskę trupem, to jako żywo realnej szkody nonsens ten nie sprawiłby żadnej i zasługiwałby na skarcenie, lecz nie na powódź artykułów.

Ale — powtarzam — tego rodzaju przeczulenie n a n i e w y r z ą d z o n e k r z y w d y jest odpowiednikiem znieczulenia na istotne ciosy i policzki.

Gdy więc Puryszkiewicz, biorąc asumpt ze sprawy mozyrskiej, z wysokości trybuny dumskiej obwieszcza Rosyi, że Polacy lżą naród rosyjski, że zohydzają jego świętości—wówczas publicyści owi nie pomyślą o tym, jak brzemiennym w następstwa może stać się ten fałsz, nie postarają się wytrącić tego oręża z ręki wroga, nie podniosą rękawicy, rzuconej przez wodza szowinistów, lecz pochowają się w kąty. Wówczas tchórzliwie milczeć będą, choć powinniby tu właśnie spożytkować swą energję, choć powinniby dowieść przed obliczem ogółu rosyjskiego, że nie krzywdzicielami są, lecz krzywdzonymi, nie lżącymi, lecz lżonymi.

Kilku publicystom pozostawią walkę o prawdę, sprawiedliwość, jak gdyby nie rozumieli, że w podobnych sprawach głosy pojedyńcze są bezsilne, a odosobnieni zapaśnicy robią wrażenie Don Kiszotów, walczących z wiatrakami.

A sami trąbić będą o swym patrjotyzmie, przysięgać będą, że całym sercem i duszą oddani są ojczyźnie, deklamować będą, wrzaskliwym dzwonem frazesów pokryć usiłując swe tchórzostwo, swą obojętność na najświętsze sprawy.

I dlatego martwe milczenie, którym pokryto jęki dogorywającego w kaźni mozyrskiej starca, jęki niewinnych katorżników, płacz ich rodzin—nazwałem w tytule milczeniem ohydnym.

Bo to nie milczenie martwoty, milczenie, które rozpościera się wówczas, gdy rycerze padli pokotem i trupami swymi zaściełają pobojowisko. To nawet nie dostojne milczenie rycerza pokonanego, który wzgardliwym tym milczeniem odpowiada na szyderstwa naigrawających się zeń wrogów.

To poprostu milczenie tchórzostwa i sobkostwa, milczenie leniwca, co łatwych tylko zwycięstw szuka, milczenie, które w niesmaczne krzykactwo przechodzi, gdy można czynić zamęt, nie narażając się nikomu.

I dlatego z najwyższym uznaniem przyjmujemy głos Belmonta, który owe lody milczenia przełamać usiłuje, dlatego sami zabieramy głos raz jeszcze.

Chcemy bowiem łudzić się do ostatniej chwili, pragniemy wierzyć, że opinja zbudzi się jeszcze z swej śpiączki, że podniesie głos w obronie sprawiedliwości, że wreszcie zmusi przedstawicielstwo polskie, które chyba nie od parady zasiadać w Dumie powinno, do zabrania głosu i wniesienia przed forum przedstawicielstwa rosyjskiego sprawy mozyrskiej.

Takie wystąpienie byłoby koniecznym nawet wówczas, gdyby chodziło tylko o sprawę kilku skrzywdzonych jednostek. Tymbardziej jest więc ono świętym obowiązkiem, gdy chodzi o sprawę ogólną: o sprawiedlwość dla Polaków, o odparcie ataku szowinistów z pod sztandaru Puryszkiewicza, o przemożenie niegodziwości Jakubowiczów.

Z cyklu: Erotyki.

Śnię o tobie w magiczne noce księżycowe,
Gdy fala brzeg piaszczysty bezszelestnie muska,
Gdy morze niesie śpiewy z głębi swych echowe,
Miga szat twych syrenich różnofarbna łuska,
I podobna swywolnej lękliwej Nerejdzie,
Gonisz fale, nim która koło stóp twych przejdzie...
Śnię o tobie w magiczne noce księżycowe.

Śnię o tobie w magiczne noce księżycowe,
Łowiąc słuchem obłędną Trytonów Hosannę,
Do srebra piasku konchy tulą się różowe
I skrzą się djamentowo wód obszary szklanne.
Niesie mi obietnice morze w tęsknym hymnie,
Że jak rusalna bajka staniesz naraz przy mnie..,
Śnię o tobie w magiczne noce księżycowe.

Śnię o tobie w magiczne noce księżycowe,
Pożerany pragnieniem ujrzeć twoją postać,
Na skał nadbrzeżnych głazy składam cicho głowę,
By módz w majaku zwodnym choć na chwilę zostać.
Lecz ty z uśmiechem pustym, jak widziadło senne,
Posyłasz mi z daleka całunki płomienne...
Śnię o tobie w magiczne noce księżycowe.

Śnię o tobie w magiczne noce księżycowe,
Oczekując, aż morskie zapłaczą orbity,
Aż porzucisz czarowne zamki koralowe
I wynurzysz się cudna z głębi Amfitryty,
Białych ramion łańcuchem szyję mi opętasz,
I powiesz, że godziny minione pamiętasz;
Śnię o tobie! w magiczne noce księżycowe.

Stanisław Jerzy Kozłowski.

NA ROZDROŻU.

Epizod z wieczności.

Stefan Gacki.

MAŁY CHŁOPAK (nieśmiało).

Kiedyś Hellady natchnieni pieśniarze
Dźwiękami pieśni uciszali burzę,
Milknęły jęki pogodniały twarze,
Gdy z liry wieszcza hymn tryskał ku górze.

I. WYROSTEK (szorstko).

Dosyć już pieśni i bajek i strachów.
Gdy dom się wali pod ciężarem pleśni,
Gdy nas przywala gruzem ścian i dachów
Śpiewaćby chyba za umarłych pieśni.

(Wszyscy kiwają głowami).

NIEWIDOMY.

Podeprzeć trzeba tę starą ruderę
I pleśń i grzyby wypalić, wytępić,
I duszę ubrać w suknie nowe, szczere,
Płaszcze obłudy podeptać, postrzępić.
Musimy znowu dzień wielkiego sądu
Przejść i co podłe wypruć z życia trzewi
I własne serca poobmywać z trądu,
Chwast, powyrywać co się wśród nas krzewi.
Zbudujmy nowe, sprawiedliwsze życie!
Zacznijcie tęsknić za dniem odrodzenia
Tęsknotą swoją dzień ten przybliżycie,
A wola wasza ruch planet pozmienia.

MĘŻCZYZNA z toporem w ręku podbiega do krzyża i zamierza się nań.

Więc przedewszystkim to, co uosabia
Męczęństwa glorję — znak krzyża niech ginie

Uderza po krzyżu, który upada NIEWIDOMY podnosi laskę zatrzymując go.

Człowiecze, rozpacz zmysły ci osłabia
Ale, zaledwie chwila zwątpień minie,
Twoja krew może na krzyż ścieknie nowy
I twoje męki nowy krzyż uświęcą.
A ludzie chylić będą przed nim głowy
Sercem ku niemu lgnąć z wiarą dziecięcą.
Bo, gdy wyginą pod toporem lasy,
Człowiek ostatni krzyż z lodu postawi.
Ból był i będzie i po wszystkie czasy
Krzyże siać będzie choć świata nie zbawi.

I. Z PRZYBYŁYCH poprzednio.

Dość już tych z niebem nierozsądnych kłótni
Jakgdyby życie było już tak prostym,
Że tylko z czasem bogowie okrutni
Ostrym pod nogi rzucają nam ostem.
Więc bogom trzeba wytoczyć raz wojnę...
Et, zamiast niebios zgłębiać tajemnicę,
Tu sobie życie wywalczmy spokojne.
Kto zdołał odkryć niedoli krynicę.
By ją na wieki zawalić kamieniem
I raz na zawsze wygnać z ziemi granic?!
Więc poco walczyć z urojonym cieniem!
Szkoda wysiłków marnowanych na nic!

INNY.

Dopóki w zbytku brnąć będziemy błędzie,
Nie odrzucicie wątpliwych „zdobyczy",
Dopóty ludzkość w mękach jęczyć będzie,
A tyran wodzić poddanych, na smyczy,
W krzyże i władców ziemia jest obfita!
Popalmy wozy, gdy my chodzimy pieszo;
Gdy nam za pokarm służy miarka żyta,
Niechaj się inni dostatkiem nie cieszą.
Zabrońmy innym wynosić ciepłe domy,
Gdy nas najwyżej grzeje promień słońca,
A zamiast puchów mamy wiązkę słomy.
Bogactwo, zbytek to pierwszy obrońca
Tyranów berła i, gdy pierwsze słupy
Wbijacie w ziemię, by zbudować chatę,
Gdy pierwsze belki zbijacie do kupy,
To opłakujcie już wolności stratę.

KOBIETA z DZIECKIEM, która przysłuchiwała się rozmowie.

Potym i ogień zabronisz nam krzesać...
Zgoda, lecz pierwiej pozmieniaj nas w ptaki,
Albo przez góry i morza nas przesadź
W krainę słońca, gdzie figowe krzaki
Odzieżą, jadłem i schronieniem służą.

INNA KOBIETA, przeskakując przez rów, i wpada między rozmawiających.

A co mnie wszyscy obchodzą tyrani!
Patrzcie, ich mędrcy! stoją nad kałużą,
Zimno, noc blizka, głód wnętrzności rani.
A ci spokojnie rozmową się bawią.
Oto wam mówię, ja, głupia kobieta,
Że wasze własne myśli zadławią,
Zgubi was gęba w słowa obfita,
Że raczej kłamać niż milczyć wolicie. —
Jedni chleb mają, gdy inni mrą z głodu!
Chodźcie, by skąpcom odpłacić sowicie,
Bo, kiedy tamci zepsuci zamłodu

Za chwile w naszej poczują się skórze,
Niełatwo życie do nędzy ich nagnie.
Miast oczy wznosić z błaganiem ku górze,
Chodźcie, kto łaknie, kto marźnie, kto pragnie.

Tłum, który dotąd z obojętnością lub zniechęceniem słuchał wszystkiego, budzi się teraz; nienawiść czuć w jego ruchach i żądzę zdobyczy. Wybiegają ze sceny.

I. Z TŁUMU, biegnąc.

Trzeba położyć koniec naszej nędzy!

II. Z TŁUMU.

Dziś my będziemy syci i weseli.

III. Z TŁUMU.

Dość nagrabili mienia i pieniędzy.

IV. Z TŁUMU.

Wszystko się pięknie zbierze i podzieli.

V. Z TŁUMU.

Ja najprzód jadła wezmę jaknajwięcej.

VI. Z TŁUMU.

Spokojnie wszystko oddać nam powinni

VII. Z TŁUMU.

Ich jest dziesiątek, a nas sto tysięcy.

GARBUS na uboczu z ironją.

Jutro też będą, gdy nie ci, to inni.

VII. Z TŁUMU (do garbusa z podgróżką).

Na zdrajców także dziś znajdziemy radę

VI. Z TŁUMU (słysząc te słowa zawraca. Za nim wracają dwaj inni).

Zdrajca, kto zdrajca? Karać go bez sądu!
Dziś żartów niema, pańskim służkom biada.
(wskazuje na garbusa).
To on, z samego już sądząc wyglądu...
(chce go uderzyć, garbus ironją pokrywa strach).

V. Z TŁUMU (zatrzymuje go i pociąga za sobą)

Et, czasu nie trać, bo inni tam łupią.
Znajdziesz go później. Poznać go nie trudno.

VI. Z TŁUMU grozi garbusowi pięścią, inni go odciągają. Na scenie pozostają tylko: dwaj nieruchomo leżący starcy pod krzyżami, umarła kobieta i człowiek, który ją trzymał, niewidomy, garbus i kilka innych osób.

GARBUS.

Litość mnie bierze nad tą zgrają glupią.

MĘŻCZYZNA.

Ha, niech się bawią, inaczej by nudno
Było na świecie. Mnie to jedno dziwi:
Jaka ich siła trzyma jednak w karbach?
Że los ich ciężki, że ci nieszczęśliwi,
Miećby powinni udział w świata skarbach,
To chyba nawet i dziecko zrozumie,
A jednak cierpią i, jeśli się zdarzy,
Że nagle moce obudzą się w tłumie,
To jak ta lawa, co łamie i parzy
Niszczy i pali, a w końcu zastyga.
Tak tłum, gdy zemstą nienawiść nasyci,
Bezradny staje, przed jutrem się wzdryga
I lada prąd go w swe wiry pochwyci.

GARBUS.

Ludzie za długo zginają już karki
I nikt dziś już na to się nie zdobędzie,
By wziąć wolności ciężar na swe barki,
A kto na wyższej nieco siądzie grzędzie.
Będzie im panem i lud go usłucha.
Straszna to prawda, że bat i kajdany
Potrzebą stały się ludzkiego ducha.
A że tam czasem strumyczek wezbrany.
Tu albo owdzie poprzerywa tamy,
Głazów nie zbraknie nigdy na zapory,
Wiecznie te same trwać będą rozłamy,
Te same mary, te same upiory.

MĘŻCZYZNA.

Słyszysz te krzyki, tam zwycięstwo świecą.
Tratują słabych — jęki słychać w gwarze.

GARBUS.

Zobaczysz, jutro sami powróz skręcą,
Nowem władcy przyniosą go w darze.
W braku korony pas mu dadzą złoty,
Albo go w płachtę ustroją cudaczną,
A w tydzień pierwsze usłyszymy grzmoty
Władcy w swej władzy utrwalać się zaczną.
Więc chodźmy teraz witać bohatera.
Nie czujesz dreszczu—rodzi się bohater!..
Śmiać bo w duszy na płacz mi się zbiera

MĘŻCZYZNA (nasłuchujący chwilę)

A teraz cichnie. Jak gasnący krater
Sapie i mruczy rozpasana tłuszcza.
Co dalej począć, zmęczeni nie wiedzą.
Sęp szpon rozpaczy w duszę zapuszcza... —
Raz się przynajmniej napiją, najedzą.

GARBUS.

Nie najgłodniejszy, lecz ten coś zdobędzie,
Co najsilniejsze ma ramię i pięści,
Tak było zawsze i zawsze i wszędzie..
Zresztą to może i słuszne poczęści.

Na scenę wbiega grupa prawujących się ze sobą ludzi. Jeden z nich trzyma w ręku węzełek, który inni chcą mu odebrać.

I. WYROSTEK.

Grabić nie wolno, oddaj do podziału.

CZŁOWIEK z WĘZEŁKIEM.

Tobie mam oddać, a to prawem jakim?
Jam go dla siebie wyciągnął z za wału
Koni i wozów... Czy ja śledzę za kim?
Niech każdy czyni według swoich myśli!
Lecz swego nie dam, byście to wiedzieli.

I. WYROSTEK.

Grabić nie wolno, a prawo nakreśli,
Jak się majętność wśród ludzi rozdzieli...

Na scenę wchodzi nowa grupa ludzi z Grabcem na czele. Mają oni na sobie ciepłe, dostatnie ubranie ale widać nie na nich robione.

GRABIEC zatrzymuje się.

Co tu się stało, kto winien tej kłótni?

I. WYROSTEK wskazuje na człowieka z węzełkiem.

Chcemy by rzeczy nam oddał zgrabione.

KTOŚ z pierwszej grupy.

Co to za jedni ci panowie butni?

INNY cicho do ucha pierwszemu.

To Grabiec, cicho, usuń się na stronę.

GRABIEC do chłopa z węzełkiem.

Oddaj węzełek za to, żeś uparty.
(do swoich)
Teraz niech każdy cieszy się, weseli,
Nie będziem dobra mierzyli na kwarty,
Samo się ono najlepiej podzieli.

KILKU z tych co przybyli z Grabcem.

Słusznie ma rację. Niech według zasługi
Każdy otrzyma co mu się należy.

MĘŻCZYZNA, któremu odebrali węzełek mruczy, kiwając głową.

Co jeden zdobył, to zabiera drugi.

JEDEN z tych, co przybyli z Grabcem,

Ten chłop uparty bunt i nieład szerzy.

GRABIEC.

Niech się wymruczy, to go uspokoi.

Słychać znów krzyk za sceną. Wprowadzają mężczyznę dostatnio ubranego, który broni się i opiera. GRABIEC zwraca się do nich.

A ten co zawinił?

MĘŻCZYZNA, który prowadzi opierającego się.

To dawny starosta,
Groził, że synów i służbę uzbroi.

GRABIEC.

Należy mu się sprawiedliwie chłosta.

STAROSTA do Grabca.

Chętnie z starszymi pogadać się zgodzę
I sprawiedliwym dam posłuch żądaniom,
Lecz pierw tej ciżbie ukróć nieco wodze,
Bo nie mych ludzi, lecz psów puszczę na nią.

GRABIEC (z ironją).

Poczekaj naprzód, byśmy cie puścili.

STAROSTA.

Rzekłem, że z tobą nie szukam zaczepki,
Ci, co ład wnoszą, memu sercu mili,
Lecz znieść nie mogę, by lada drwal krzepki
Śmiał mi przewodzić.

GRABIEC do swoich.

Gdzie są jego wozy?

STASOSTA (do Grabca znacząco).

Powtarzać nie chcę, żem do zgody skłonny.

GRABIEC (po chwili namysłu).

Puśćcie go chłopcy, zdejmcie mu powrozy.
Przy dobrej woli, zgodzie obustronnej
Ja w cztery oczy załatwię z nim sprawy.
(do starosty)
Tymczasem rozkaż, by z twoich zapasów,
Wydali ludziom i picia i strawy.

Starosta ogląda się dokoła, spostrzega kogoś ze swoich i daje mu znak, by spełnił ten rozkaz; ten odchodzi, garstka ludzi wybiega za nim.

GRABIEC (za odchodzącymi).

Tylko spokojnie, bez burd i hałasów.

(d. c. n.)

radości, która do zatęchłego domu wprowadza Słońce i Żywot.

Odtąd wszystko umarłe żyć w nim będzie, odtąd zrodzi się w nim nowa siła, która nie ulęknie się mocy śmierci.

Lecz skąd się ma rodzić ta wiara w teraźniejszość i przyszłość narodu, gdy taki np. Niemojewski, zrażony apokryfem Notowicza, odmawia „Nietocie" wszelkiej wartości, *) gdy Gwalbert Pawlikowski radzi kije na literatów polskich.

Skąd dnieć ma przyszłość i rozsłoneczniać się teraźniejszość przed narodem, którego bogów zastąpił Crepitus, bożek trawienia.

To też ten tylko „Nietotę" zrozumie, kto, jak mówi Artur Górski,—„zdołał przeprawić się na drugi brzeg czasu, poza trzecią część Dziadów i rok 63-ci", komu „codzienna tresura racji stanu i logiki życia i tych wszystkich łamańców" nie spaczyły duszy.

Ten tylko zrozumie, dokąd płynie korab, Tęsknoty Arjamana, komu świecić pragnie przejasnym kagańcem Myśli — Mag Litwor, i tylko ten zrozumie czemu Witezie z Turowego Rogu „nie jeżdżą na parowcach z beczkami śledzi", lecz, o zgrozo, wzrok swój wysyłają „ku meduzom głębin".

*) Zob. „Myśl niepodległą" Nr. 141. Lipiec 1910.

Stanisław Wyspiański jako malarz).

W. Trojanowski.

Fatalna, zaściankowa atmosfera dławiła Wyspiańskiego w Krakowie nie tylko jako człowieka, ale zwłaszcza jako artystę, nie dając mu pola do rozwoju. Aby dać się poznać szerszej publiczności zaczął on malować, albo jak się wyrażał „pastelować" portrety znajomych panienek, ku wielkiemu niezadowoleniu ich mam, które chciały widzieć swoje córeczki pięknymi jak lalki z porcelany, a nic ich nie obchodził charakter i wyraz, których one u swych córek dostrzedz nie umiały. Owe studja portretowe, pochodzące z końca 1894 i początków 1895 r., pomimo pewnej ciężkości w traktowaniu i twardej jeszcze techniki, już pod względem wyrazu zaznaczają się bardzo dodatnio. Obok „pastelowania" portretów malował krajobrazy, używając do nich techniki olejnej, która nie okazała się odpowiednią dla rodzaju jego talentu; używał jej przeto bardzo rzadko i to jako sztyftów Raffaelego, gdyż sposób nakładania nimi farb zbliża się do techniki pastelowej.

Coraz więcej wyrabiające się w nim poczucie dekoracyjności w malarstwie, polegające na odrzucaniu szczegółów przy silnym zaznaczaniu cech charakterystycznych i używaniu linji konturowych ograniczających płaszczyzny wypełnione barwami czystymi, charakteryzują następnie wszystkie jego prace.

Jak zadziwiająco szybko talent jego dojrzewał i mężniał służyć może za przykład przepiękna praca nazwana „Caritas". Odznacza się ona prostotą pojęcia, oryginalnością układu figur, dziwną szczerością i głębokością wyrazu. Dwa młode dziewczęta złączone ze sobą uściskiem serdecznym, silnym, wywołanym wewnętrznym uczuciem miłości dają się wyczytać w ich oczach, tworzą grupę w pomyśle nic niemającą wspólnego ze wszystkimi szablonowo pojmowanymi wyobrażeniami „Miłości chrześcijańskiej". Wieje z tego dzieła duch nowy, szczery, oryginalny. Całe dzieło oparte jest na naturze pełnej charakteru; głowy tchną indywidualnością i nie są to jakieś oderwane typy opierające się na urobionej przez wieki tradycji.

Wyspiański rwał się do swych kompozycji. Pomysły zazwyczaj przychodziły mu do głowy pod wpływem z zewnątrz; najczęściej przy czytaniu utworów. W liście do Rydla pisanym w d. 16 listopada 1894 r. znajduje się wzmianka o kilku takich kompozycjach, które pozostały, jak wiele innych, tylko pomysłami.

Wyspiański zachwycał się wówczas Tassem i Ariostem, robił nad nimi studja i obiecywał sobie wykonać szereg szkiców do gobelinów, jako ilustracje do tych poematów.

Były to jednak pomysły; na wykonanie ich

zabrakło czasu. Wyspiański nad nimi nie mógł zastanawiać się długo; wkrótce otrzymał polecenie przyozdobienia polichromją presbyterjum i nawy poprzecznej kościoła oo. Franciszkanów w Krakowie. Budowniczy E., powierzył mu tę pracę, w warunkach dosyć szczególnych, pochlebnych dla młodego artysty.

Kościół Franciszkanów restaurował w ówczas architekt E., i starał się przywrócić mu formy pierwotne, gotyckie. Wyspiańskiemu czas nie pozwolił wziąć w konkursie udziału, gdyż odbył się on wkrótce po jego powrocie z Paryża. Tymczasem artysta, którego pracę nagrodzono i przyjęto do wykonania, nie umiał sobie dać rady z dziełem, przerastającym jego słabe siły. Architekt znalazł się w kłopocie. Praca była już niby gotowa, robotnicy oczekiwali na szkice, a dzieła rozpocząć nie było można. Przypomniano sobie Wyspiańskiego, o ktorym wiedziano, iż prowadził roboty przy polichromji Kościoła marjackiego, i napisano do niego na wieś, gdzie pod Wiśniczem, miał zamiar lato przepędzić. Można sobie wyobrazić, z jakim biciem serca wiadomość tę otrzymał Wyspiański. Natychmiast wrócił do Krakowa i gorączkowo zabrał się do pracy, aby w dni kilka módz wykonać i przedstawić szkice swego pomysłu, które też zostały przyjęte.

W czerwcu 1895 r. zawarł Wyspiański kontrakt z komitetem restauracji kościoła i niezwłocznie zaczął pracować nad kartonami, a trzeba było się spieszyć, gdyż kilkunastu ludzi czekało na robotę. Potrzebna była odpowiednia pracownia; dano mu w tym celu dużą salę w Szkole Sztuk Pięknych i tam, otrzymując codziennie wymiary scian kościoła, rysował kartony pastelami, robił kalki, spieszył się i pracował bez wytchnienia.

Ale znalazł się w swoim żywiole. Miał pracę która go interesowała, do której był stworzony, a, jakkolwiek musiał się naginać do zapatrywań ludzi obcych, pracował jednak dosyć samodzielnie i po raz pierwszy (a niestety i ostatni) mógł w pracy tej wykazać swe zdolności do monumentalnego zdobnictwa.

Polichromja Wyspiańskiego w Kościele Franciszkanów zawiera elementy gieometryczno-linearne, odpowiadające strukturze architery kościoła, motywy czysto zdobnicze, zaczerpnięte z flory miejscowej, krajowej i trzy kompozycje obrazowe.

Motywy linearno-geometryczne zaznaczają wzwyż smukłe linje struktury gotyckiej i dzielą pola ścian wszerz, dając miejsce na ozdoby kwiatowe.

Ozdoby te miały być świetne w swych pomysłach. O nich pisze Wyspiański do Rydla: „Dwie główne kompozycje do Franciszkanów ci wymienię, a te są:

„ogród zupełnej szczęśliwości, gdzie jest tak lubo, tak miło, tak spokojnie, jak nigdy na ziemi być nie może i nie było...“

„las zwątpienia, walki, trudów, przeciwieństw, przeszkód, gdzie pobyt jest straszny, przerażający“.

Obie te kompozycje nie zostały wykonane i nie z winy ich autora!

Co więcej, musiał Wyspiański wielkie przestrzenie w ścianach kościoła zostawić bez ozdób aby tam mogły być powieszone pretensjonalne i mało wartościowe obrazy Rossowskiego. Na tych przestrzeniach namalował jakgdyby rozwieszone, fałdujące się firanki.

Główną ozdobą ścian prezbyterjum i transeptu są kwiaty: nasze bratki, bławaty, kąkole, nasturcje, słoneczniki, kosaćce, lilje, grążele, a wszystkie barwne, a wszystkie lekkie, pełne wdzieku naturalnego, a jednak stylizowane, to znaczy, zastoswane do miejsca, które upiększają. Ściany kościoła, zda się, zostały zamienione w łąki bujne zielenią, mieniące się od stubarwnego kwiecia.

Ile w te skromne kwiaty włożył Wyspiański poezji, miłości, ciepła, wdzięku! traktował je jako istoty żyjące , bo kwiaty żyły dlań, posiadały język, który on odczuwał, rozumiał i kochał. Jakie na tych kiku ścianach ukazał bogactwo form i wzorów dekoracji świeżej, opartej na naturze, nigdy nie wyczerpanej i zawsze żywej!

Kwiaty pokrywajęce ściany presbyterjum i nawy poprzecznej Franciszkańskiego kościoła, umieszczone w głębokościach framug okiennych, są arcybogatą skarbnicą wzorów sztuki dekoracyjnej i jako takie powinny być znane przez najszerszy ogół, a rozpowszechnione w reprodukcjach przysłużyłyby się do rozwoju poczucia estetycznego.

Na dwuch przeciwko siebie stojących filarach międzyokiennych, w presbyterjum umieścił Wyspiański wspaniałe, nader oryginalnie pojęte kompozycje figuralne. Na filarze stojącym po prawej stronie widza (przy witrazu Ś-go Franciszka), podzielonym w swej wysokości na dwie części, widzimy „Caritas“, ową miłość chrześcijańską w przepysznym otoczeniu z lilji

witrażu] bławatów, niżej zaś znajduje się postać Matki Boskiej z małym Chrystusem na ręku, pomyślanej jako „Królowa-wieśniaczka polska", nad którą anieli unoszą koronę. Pomysł odznaczający się wielką szczerościa, prostotą zastosowany jest do pojęć ludu naszego o Marji, Królowej nieba.

W stojącym naprzeciw filarze (obok witraża Ś-tej Salomei), widzimy u góry stojącą postać Archanioła opartego o Miecz, wyłaniającego się, gdyby z płomieni, a pod stopami tego strażnika nieba rozgrywa się scena dramatyczna: strącenie zbuntowanych aniołów. Rozgrywa się ona na tle płomieni. Dwaj aniołowie (chłopcy dobrze zbudowani) strzelają z łuków w skłębione ciała zlatujących lucyferów.

Kompozycja ta oryginalnością swą zadziwia. Jej pojęcie, układ, typy, są zupełnie nowe, nigdzie niespotykane.

Dekoracyjna całość tej części kościoła jest wspaniała. A jednak praca ta, jak każda zresztą inna, wykonana pod pewnym przymusem, nie mogła zadowolić takiego jak Wyspiański artystę. W listach pisanych do Opieńskiego kilkakrotnie żali się na to: 12/X 1895, „Kościołem zamiast się cieszyć, maltretuję się coraz zupełniej i coraz gruntowniej".

„Przeszkadzano mi ciągle — dzisiaj już mam spokój, ale też najważniejsze idee są zabite i zdruzgotane, lub zwichnięte".

„Ledwie mię co zatym cieszy".

6 grudnia. „Ja już kościół ukończyłem. Czekam tylko na otwarcie, które lada dzień nastąpi, a za nim pójdzie krytyka i jakaś pewnie ocena. Ach, gdybyż można być wolnym i niekrępowanym zbyt poziomymi względami w takiej, jak ta, dekoracji Ale przy pierwszym występie przyznaję, że mi te przeszkody i krępowanie wyszło tylko na dobre, bo mnie ogromnie dużo nauczyło. Jestem teraz kuty dobrze w ocenianiu efektów mających się wydobyć i w obliczeniu efektów".

„Do tej jednakże chwili nie wiem jeszcze nic pewnego co do dalszych robót. Zdaje się, wszystko będzie czekało wiosny, ba, nawet może do ostatniej chwili rozpoczęcia, naturalnie ze szkodą sprawy całej i niedogodnością dla mnie".

Niestety, sprawa wzięła gorszy jeszcze obrót, niż nawet sam Wyspiański przewidywał. Nie jemu oddano ostateczne wykończenie kościoła: nawę główną pokrył dekoracjami kto inny (p. Popiel), starając się wedle sił, naśladować pierwowzór Wyspiańskiego.

Będąc jeszcze zajęty pracą przy Franciszkanach, Wyspiański miał nadzieję udekorowania kościoła w Bieczu. Już w listopadzie 1895 r. pisze o tym do Opieńskiego. „Kroi mi się kościół w Bieczu. Tak zwana „polichromja", czyli smarowanie w papuzie kolory. Jest na rue do Seine, wielka papuga; niebiesko-zielono-żółto-czerwona. Otóż ona jest wzorowym okazem i modelem polichromji średniowiecznej. Ja chcę inną zaprowadzić modę i jestem stanowczo po stronie sów, np. tonacja płomykówki jaka jest miła. albo tonacja krogulca".

(d. c. n.)

NASZ JĘZYK.

Jur Kamieński.

Język dla każdego człowieka cywilizowanego jest rzeczą drogą i niezwykle ważną, gdyż w nim to jako w zwierciadle odbija się przejrzyście — duch, kultura i stopień umysłowości narodowej.

Kołysanka matczyna (wychodząca trochę jakby z „mody") nucona w ojczystym języku, budzi dziwne uczucia i w późnej starości, w duszy nawet wyjałowionej z uczuć i czułostkowości, nawet zupełnie wynarodowionej... A więc ma jakąś wielką moc to pierwsze słowo wypowiedziane w ojczystym języku, czyni ono jakby rylcem ślady w naszej pamięci, mocne, czyste, stanowiące stałą cechę przez cały żywot.

To też gdy człowiek pięknie, czysto i poprawnie wyraża swe myśli, jest to olbrzymim przymiotem, osiągalnym dla wszystkich w równym stopniu, naturalnie nie u nas, gdzie szkół

jakby na „lekarstwo" i brak opieki nad językiem ojczystym i jego potrzebami, odczuwany na każdym kroku.

Obecnie zaś samochcąc nie kaleczmy wspaniałej szaty w jaką jest odziana ogólnopolska mowa, ale pomyślmy raczej nad tym, iż można ją jeszcze ożywić i dodać jej krasy wyrazami wyjętemi z nieprzebranego skarbca słowniczego, jakim są nasze gwary ludowe; można z nich czerpać, gdyż stoją otworem, u nas zaś nikt nie podejmuje tego trudu, gdyż wolą zapożyczać gotowe wyrazy obce, ucierające się z biegiem czasu. Dziwne lenistwo!

Niedawno właśnie p. G. Smulski w nowym tygodniku „Ziemia"[1]), poruszył tę bardzo ważną sprawę, wskazując na całą masę jędrnych, dobitnych, świetnie określających i przebogatych w odcienie—wyrazów podhalańskich z dziedziny meteorologji i wyrazownictwa określającego stany przyrody martwej i żywej naszych wspaniałych Tatr, rzeczywiście godnych takiego narzecza jakim jest góralskie, tak bogatego iż mogłoby być podłożem wspaniałego języka. Naprzykład skałę wystającą na dnie potoku w ogólnej polszczyźnie oddajemy aż pieciorna wyrazami, góral zaś tatrzański wypowiada to pojęcie za pomocą jednego wyrazu — mówi on — jaz; dalej, porozrzucane głazy, różnej wielkości, leżące jedne na drugich, świetnie określa on wyrazem— rum lub rumowisko, takiż rum zarosły zwą już— rypą, wodospad—siklawą, mały wodospad który my z obca zwiemy kaskadą, oni mianują — burtnicą, pole po raz pierwszy uprawione po wycięciu i wykarczowaniu lasu zwą — nowocią, obcy wyraz lawinę określają dosadnie - obwałem torf—borem, mały dół w potoku—ploskiem, plosem zaś jezioro lub głębokie miejsce rzeki gdzie jest dziura wybita przez wodę; wązkie koryto na zboczu góry lub między górami ze spływającym potokiem lub bez niego nazywają — żlebem lub żlebkiem, żlebiną zaś wklęsłość na wierzchu góry. Niektóre wyrazy góralskie jak: przełęcz, żleb, siklawa, piarg, limba, pyrć, hala, ciupaga, gazda, krzesanica, wirch, grań, połonina (równina), watra (chata) weszły już w skład ogólnopolskiego języka piśmienniczego, lecz to wszystko jest tylko okruszyną w porównaniu z ogromem całego bogactwa. Oto gdy deszcz pada drobno, a słotno góral mówi iż „ciabrzy", gdy prószy to „pyrści", gdy pyrści w towarzystwie mgły to „pluci", „durcy", gdy pada ulewnie, „paproci", padając silniej, a przytym słotno, „siapi" gdy kropi przy mgle; takich odróżniań i niezwykłych cieniowań bez końca. Jak Tatry wysokoskalne pod chmury sięgają, tak i ich dzieci określają czule, spostrzegawczo, dosadnie i górnie wszystko co oko sokole zobaczy i ucho pochwyci. Należy pamiętać iż prócz skarbnicy gwarowej tatrzańskiej, możemy czerpać z narzecza kaszubskiego, mazurskiego, śląskiego,kurpiowskiego, wielkopolskiego i t. d. Co zaś się dzieje w naszej powszedniej mowie i dziennikarstwie, to nie raz aż strach czytać i słuchać, pełno tu przedewszystkim szpetnych wyrazów obcych, a następnie błędów gramatycznych i stylistychnych (głównie w mowie potocznej). Nasi sąsiedzi Niemcy pracują gorliwie nad oczyszczeniem języka, a towarzystwo — „Sprachreinigungs—Verein", pomyślnie rozwija swą działalność, przy szczerym poparciu całego społeczeństwa niemieckiego. A u nas? U nas prawie do „rzadkości" możemy zaliczyć, gdy ktoś powie lub napisze prawdziwie po polsku: zadowolony, ucieszony, uradowany zamiast piekielnie brzydkiego „kontent", tłocznia[2]) zamiast drukarnia, zarząd, a nie administracja, zawód zamiast fach, natężony zamiast intensywny, wytwór lub tworzywo zamiast produkt, wytwórczy lub wydajny zamiast produkcyjny, widnokrąg lub nieboskłon, a nie horyzont, prądnica, a nie dynamomaszyna, tłuczeń a nie szaber, gładzik, a nie hebel, przedpłata a nie prenumerata, wymagalnik miast postulat, księgozbiór, księżnica zamiast bibljoteka, probierz lub sprawdzian, a nie kryterjum, gałęź, a nie branża lub imadło zamiast śrubsztak, kołodziej a nie stelmach i t. d. i t. d. Posypie się kilka set wyrazów jakby z „rogu obfitości".

A więc pełno niemczyzny w przemyśle i rzemiośle, z którą raz powinniśmy zakończyć, mając polskie słownikarstwo, legjony łacinizmów, galicyzmów, germanizmów a na dodatek rusycyzmów w życiu potocznym, a nawet piśmiennictwie, nie mówiąc o dziennikarstwie, b. często przeładowywanym obcymi naleciałościami niezrozumiałymi dla trzech czwartych nawet inteligientnych czytelników, jakoto: sumpt (koszt), absentizm (nieobecność), rewelacja (wyjawienie, odkrycie), remedium (środek), eksponat (wystawca), ekrituar (przybór do pisania)

[1]) № 32. 33. 34 „Słownictwo naukowe i gwary ludowe".

[2]) Jedna „Ziemia" używa tego świetnego wyrazu.

Takich „dziwolągów“ wprowadzać nie można. Nie znaczy to bynajmniej, aby wszystkie wyrazy obce, nawet takie, których bez zmiany znaczenia w polszczyźnie zastąpić nie można, postradały prawa obywatelskie w poprawnej wymowie; wyrazy takie nas nie hańbią, jeno twierdzą o wspólnocie naszej cywilizacji z innymi narodami. Nakoniec dodać warto, iż powinny być wydane prawidła pisowni polskiej, któreby ujednostajniły dotyczaczasowe często błędnie utarte lub przestarzałe sposoby pisania i mówienia, np. mówimy krawcowa, gdy powinno być po polsku krawczyni, ponieważ końcówka—owa oznacza żonę krawca, a nie kobietę żyjącą z tego zawodu.

Pisma zaś, by poprawić poziom językowy swych czytelników, winny uważniej poprawiać artykuły przeznaczone do druku, a prócz tego otworzyć gościnnie na swych łamach miejsce na pożyteczny „kącik językowy“, który, ma się rozumieć, powinniby przeglądać wszyscy przedpłatnicy.

Dziwne to, zaiste dziwne, że nietylko obcy depczą i zniesławiają naszą mowę ojczystą!

Choć jednak powszechna poprawność mowy polskie pozostawia wiele do życzenia, stan jej ogólny mimo przelicznych obieży i opałów, świadczy wymownie o żywotności i potędze.

Na czym polega objaw żywotności naszej pięknej polskiej mowy?

Oto przykład, jeden z mnóstwa: przed kilku laty ropowszechniło się pojęcie naukowo-sportowe „awjatyka“, i polszczyzna w mig wywyłania świetne swojskie [3]) określenie — lotnictwo, a wszystkie składowe szęści szybowca, latawca czy samolotu (tu znów widzimy bogactwo twórcze języka) otrzymują również dobre polskie określenia. Wogóle język nasz bogacony pięknymi starożytnymi wyrazami i nowotworami, świadczy pomimo wszystkie tamy i przeszkody o naszej wielkiej żywotności!

[3]) Dotąd żaden z narodów nie posiadał swojskiego wyrazownictwa lotniczego, wyjąwszy Francuzów, głównych twórców lotnictwa.

Jak ja to widzę.

Poor Yorick.

— **Duma i jej prezes**. Trzecia Duma z rzędu nie posiada wprawdzie ani tradycji ani atrybucji właściwego parlamentu, natomiast obfituje w skandale, których mógłby jej pozazdrościć nawet sejm galicyjski. Sprawcami skandalów są oczywiście zawsze tragiczne błazny w rodzaju Puryszkiewicza, a pośrednio prezydjum, tolerujące wybryki tego psychajaty dla dokuczenia lewicy.

Tak np. na jednym z ostatnich posiedzeń p. poseł z Bessarabji całą inteligencję rosyjską w czambuł nazwał „swołoczą“ (słowa tego na język polski przełożyć się nie da). Jak łatwo zrozumieć, to miłe określenie kwiatu Rosji zrobiło odpowiednie wrażenie, wywołując formalną burzę na lewicy. Nie stracił zimnej krwi jedynie prezes Guczkow, który nadomiar ostro skarcił lewicę za to, że nie zniosła obelgi w milczeniu i pokorze.

W ten sposób p. prezes wywdzięcza się prawicy za poparcie jego kandydatury na prezesa, lewicy — za uraczenie go przy wyborze czarnymi gałkami.

— **Sokół w Paryżu**. Syt laurów i chwały, smętnej sławy zwycięzca konkursowy, p. Ignacy Grabowski udał się do Paryża i obecnie nadsyła do „Sceny i Sztuki“ swe wrażenia z pobytu w mieście Światła.

Z wrażeń tych pozwalamy sobie wybrać kilka najcenniejszych, by zapoznać czytelników z bogatym umysłem i artystyczną naturą mężnego pogromcy „gryzoniów narodu“.

Najsilniejsze wrażenie zrobili na naszym Sokole współcześni autorzy dramatyczni francuzcy. Lecz wrażenie to jest o ile silne, o tyle ujemne. Zdaniem p. Grabowskiego stanowią oni bowiem „generację z poronienia“—w przeciwieństwie do niego — laureata, protegowanego pani Hortensji oraz poety renesansu polskiego. Starsi autorzy jak Dumas, Sardou i inni o wiele większą łaskę znajdują w dostojnych oczach tego patrjoty i przysięgłego krzepiciela serc naszych. Tak więc „cieszył się on na Priolę“, co w tłomaczeniu z języka Grabowskiego na polski znaczy, iż cieszył się nadzieją ujrzenia na scenie „Margrabiego de Priola“.

Dość przypadła też do gustu „Ignasiowi“ (tak zwie się p. G. w przedmowie do „Sokoła“) pani Sorel, aktorka z komedji francuskiej. O aktorce tej pisze on: „M-me Sorel na scenę przynosi wielką zmysłowość bujnego ciała i o b f i t y c h p i e r s i“.

Na zakończenie autor czyni cenne wyznanie, w którym pośrednio wypowiada swój pogląd na „Sokoła“.

„M-me z szatni (w teatrze paryskim)... zna się na sztuce lepiej od recenzentów warszawskich“

Jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że ci właśnie, tak lekceważąco potraktowani recenzenci warszawscy nagrodzili dramat p. Grabowskiego, uznając „Sokoła“ za arcytwór sztuki teatralnej—będziemy musieli przyznać, że p. G. posiada jednak sporą dozę samokrytycyzmu.

Gdyby posiadał go jeszcze więcej, niewątpliwie zakończyłby swą korespondencję następującymi słowy:

Co też widział pięknego nasz młodzian w Paryżu?
Niezrównane pasztety i pulpety z ryżu!

— **Prawda o „Prawdzie“**. Od pewnego czasu „Prawda“ stała się pismem wysoce ciekawym. Wprawdzie treść jej wymownie przeczy tytułowi, lecz tym nie mniej każdy numer pisma zawiera garść artykułów o charakterze nietyle literacko-artystycznym, co leczniczym, gdyż elaboraty owe nieprzeparcie popychają czytelnika w objęcia Morfeusza.

Wszelako ostatni (46-y) numer zakasował pod tym względem wszystkie poprzednie. Odznacza się bowiem niebywałym bogactwem tonów, a nadewszystko dziwnie dostraja się do programowych wystąpień pisma z przed kilku tygodni

Artykuł wstępny, ociekający krokodylimi łzami, a jednocześnie podający oburzenie przeciw N. D-cji z właściwą „Prawdzie„ (w cudzysłowach) mocą gromi projekt ograniczenia żydów w samorządzie. Podobny środek uznaje on za „obosieczną broń“, a przytym za coś wrogiego tradycjom postępu i demokratyzmu naszego. Zaś „Prawda“ uznaje wszelkie tradycje, prócz jednej: tradycji: tej którą, zostawiła „Prawda" Świętochowskiego swej suchotniczej następczyni i imienniczce.

Tak wybujały filosemityzm może zdziwi czytelników naszych, którzy pamiętają, jak hasała „Prawda“ podczas niedawnej „judenhecy“ publicystycznej. Nas to jednak nie dziwi, bo już przed pięcioma tygodniami przepowiedzieliśmy upadek ministerjum w „Prawdzie“ i szybką zmianę kursu.

Dalej szanowny organ P. Z. P. w szeregu drobnych artykułów rozprawia się z socjalizmem, anarchizmem i wogóle z wszystkim tym, co nie znajduje uznania przed majestatem prefekta policji paryskiej, który jest najwyższą powagą w oczach współpracownika „Prawdy“. Przedewszystkim więc kilka ostrych upomnień dostaje się p. Henrykowi Lukrecowi ze „Społeczeństwa“ za nazwanie P. Z. P. maruderami przeszukującymi kieszenie poległych. „Prawda“ w odpowiedzi na to twierdzi, że p. Henryk Lukrec może i zna się na podstawowych zasadach demokratyzmu, lecz wzamian nie zna się na przyzwoitości. My ze swej strony sądzimy, że „Prawda“ nie zna się wprawdzie na zasadach demokratycznych, ale i o przyzwoitości również najlżejszego pojęcia nie ma. Dowiodła tego niejednokrotnie w całej serji artykułów, w których ordynarnie lżyła skrajną lewicę.

W innym artykule specjalista „Prawdy“ od spraw Zachodu przekłada socjalistom, że oni we Francji zwalczają anarchistów, on zaś tu, w Warszawie zwalcza tak samo socjalistów. Czego fakt ten ma dowodzić — nie wiemy, ale w każdym razie zaznaczyć musimy, że sz. autor łudzi się, mówiąc o swej walce z socjalizmem. Z tym ostatnim walczy bowiem jedynie „ochrana“, zaś publicysta „Prawdy" poprostu pisze płyciutkie i ckliwe, jak emetyk, artykuły, pod których wpływem nie on, lecz czytelnicy „walczą" bez nadziei zwycięstwa, ale nie z socjalizmem, tylko z snem.

Najciekawszy jest jednak w „Prawdzie ostatni wiersz na ostatniej stronie, gdzie czytamy nazwisko wydawcy, p. Jabłońkiego. Fakt ten jest ciekawy z tego względu, że ów p. Jabłoński wydawca antyklerykalnej (?) „Prawdy" jest tym samym, który w depeszy do bisk. Zdzitowieckiego wyrażał swe niezachwiane przywiązanie do katolicyzmu“.

Sądziliśmy, że po depeszy „Prawda" rozstanie się z swym wydawcą, a P. Z. P. z wice-prezesem. Okazuje się jednak, że w piśmie tym przywiązanie do religji godzi się jaknajlepiej z antyklerykalizmem. Rychło więc doczekamy się zapewne, że pogromcy fanatyzmu żydowskiego, zasilający pracami swymi „Prawdę", poślą depeszę z wyrazami „niezachwianego przywiązania do Talmudu" do... cadyka z Góry Kalwarji.

Bo jak stałość przekonań, to już stałość przekonań!

— Klasy wyższe i niższe. Nasz artykuł wstępny z Nr. 24-go o stanowisku inteligencji został podniesiony przez „Kurjer Łódzki". Dziennik ten—jeden z najżywszych i najlepiej redagowanych na prowincji, a przytym umiejący łączyć śmiałość i stanowczość z taktem — powagą i komentując wywody nasze, czyni jednak pewien zarzut formalny, na który czujemy się w obowiązku odpowiedzieć. Autor artykułu p. L. Cz. zarzuca nam mianowicie, że nazwaliśmy lud pracujący „klasami niższymi"—co zdaniem p. Cz. nie zgadza się z istotnym demokratyzmem.

I rzeczywiście nazwaliśmy klasy te „niższymi", lecz nie chcieliśmy przez to określić naszego stosunku do nich. Jedynie, rozpatrując je pod kątem umysłowości, stwierdziliśmy, że stoją one na niższym szczeblu, z czym—niestety—zgodzić się musi każdy.

Oczywiście dążeniem naszym, jak wogóle demokratów jest, by klasy owe przestały być i pod tym względem „niższymi". Ku temu właśnie celowi radziliśmy inteligencji skierować wszelkie wysiłki.

Sądzimy więc, że na tym punkcie między poglądam naszymi a publicystów z „Kurjera Łódzkiego" niemasz żadnej rozbieżności.

— Ciemny styl. „Nowe Życie", przytaczając z „Odrodzenia" protest Szecha przeciwko „bezecnej kampanji kalmuniatorskiej, rozpoczętej przez „Myśl Niepodległą" i jej sojuszników", zaopatruje go w następujący komentarz.

„Podczas gdy niektórzy z tych sprzymierzeńców, zawstydzeni, milczkiem wycofują się z afory, rozlega się donośny głos Antoniego Szecha, który w Nr. 23 „Odrodzenia" piętnuje orgję polemiczną".

Niewątpliwie „Nowe Życie" gdy o sprzymierzeńcach pisze, nie nas ma namyśli, ale styl wzmianki jest tak zawiły, że niektórzy czytelnicy mogliby wynieść wrażenie „jakoby i „Odrodzenie" do „sprzymierzeńców" należało. Przypominamy tedy „Nowemu Życiu", że pismo nasze od pierwszej chwili przeciwstawiało się „orgji publicystycznej"—wcześniej nawet, niż „Wiedza" i „Nowe Życie".

Nie podnosilibyśmy tej kwestji, ale obawiamy się, że może niejasność stylu „Nowego Życia", nie jest rzeczą nieumyślną. lecz wyrazem świadomej niechęci i nieufności względem „burżuazyjnego postępu".

Czyżby „Nowe Życie“ obawiało się Danajów - nawet gdy przychodzą z darami swych serc.

Redakcja „Odrodzenia“ została skazana na 50 rb. kary za artykuł p. J. Huzarskiego p. t.: „Protesty Shilok6w“ zamiesz. w № 13-ym

WARUNKI PRENUMERATY:

W WARSZAWIE:

rocznie	rb. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2

Redaktor przyjmuje od godz. 4 pp. do 6.

Na prowincji i Zagranicą:

rocznie	rb. 10.—
półrocznie	„ 5.—
kwartalnie	„ 2.50

Cena pojedyńczego numeru kop. 15.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu I-a str. 30 kop., II i III str. 20 kop., ostatnia str. 25 kop.
Ustępstwo: Od 6 do 12 razy 20%, od 12 do 24 ogł. 30%, od 24 do 52 ogł 50%.

Kierownik pisma **Stefan Gacki.** Redaktor i wydawca: **Anna Herszfinkiel.**

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.

Kierownik pisma Stefan Gacki. Redaktor i wydawca Anna Herszfinkiel.

Druk. Art. K. Kopytowski i S-ka, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.